

Prowincjalki

List z Lublina z okazji odrodzonego „Zdroju”

1. Lublin rozłożony szeroko nad gruzliczym biegiem rzek: Bystrzycy, Czechówki i Czerniejówki otwiera się na kraj czterema traktami. Jeden z nich prowadzi do stolicy. Goście z Warszawy wjeżdżający do Lublina we wrześniu historycznego roku 1939 - zdążyli podziwić się piękności i nowoczesnemu wyglądowi miasta z tej strony. Trzy inne trakty wiodą do niższych kręgów prowincji - tędy jedzie się do Lubartowa, Radzyna, Zamościa, Biłgoraja, Tomaszowa, Puław. Jedzie się piękną ziemią, nie tylko między pola, laski, wsie „uduchowione” w malwach, ale ku południowi w zdrowe, wydęte pagóry, w prawdziwe bory do niedawna ordynackie, dziś często skrywające bratobójczą kulę.

Te dwa zasadnicze kierunki: wyjście z Lublina i dojście do niego - jak są charakterystyczne. Trakt wyjściowy to droga do stolicy - droga awansu. Warszawska rogatka jak korek ulegała naporowi zdolniejszej, żywszej młodzieży, dążącej do szkół wyższych, energiczniejszym intelektualistom, literatom, działaczom.

Było to przejście z prowincji do świata wyższego - otwór duży i nie dla powrotu. Powracać do Lublina można było chyba aby odświeżyć w oku przyjemną barwę dachów katedralnego i wizytkowskiego kościoła na niebie. Powrót zupełny groził zmniejszeniem się szans życiowych, zacieśnieniem interesów, zgnuśnieniem kulturalnym - jednym słowem sprowincjonalizowaniem się.

Z drugiej strony drogi z miast powiatowych i gmin dawały wpust wszystkim elementom z małych miasteczek i wsi ziemi lubelskiej, które albo gospodarczo, albo pod względem zaradności życiowej dojrzały do przeniesienia się w wyższy krąg cywilizacyjny, do mieszczanienia. Nie mówiąc o mętach, nędzy i niedołęstwa przedostających się przez to sito administracyjnymi drogami opieki społecznej lub poza nimi niby za łokciami silniejszych. Dla tych wszystkich, jak dla pierwszych Warszawa, Lublin był awansem ze swoimi gimnazjami, uniwersytetem, targiem i czterema kinami, a wreszcie kościołami do zebraniny. Nosili oni na duchu i umyśle pokłady głębszej prowincji. Rzadko udało im się ominąć lokalną stolicę i znaleźć się nagle z rynku Bychawy lub piasków Biłgoraja wprost w sytuacji ogólnokrajowej, w strumieniu ogólniejszego życia.

Dlaczego?

2. Przyjeżdżającym ze Śląska, z Łodzi, z zachodu Lublin wydaje się mroźniejszy, bardziej kontynentalny, wschodni. Jednak mała różnica klimatu atmosferycznego nie tyle decyduje o „wschodniości” Lublina, co jego charakter gospodarczy.

Bolesław Prus pisał kiedyś do swego Kuriera list z Lublina - „stolicy ekonomistów”. I słusznie.

Całe połacie Lubelszczyzny stanowiły wielkie majątki hrabiowskie z ordynacją Zamoyskich na czele. Podzielone na drobne, choć jeszcze wielkofolwarczne dzierżawy, majątki te w wyniku parcelacji przeprowadzonej w latach dwudziestych nie tylko nie zmieniły swego obszarniczego charakteru, ale uzyskały jeszcze większą liczbę właścicieli, większą liczbę ekonomów. Ordynacje zaczęły się rozpadać na samodzielne folwarki, dzierżawcy stali się dziedzicami i wpisali się do Związku Ziemian. W ten sposób parcelacja utrwaliła feudalny ustrój rolny.

Szkoła wiejska, spółdzielnia, mleczarnia w miasteczku i cukrownia w Lublinie ciążyły ku interesom folwarcznym lub w ich cieniu wegetowały.

Lublin stanowił centrum tych interesów i najgłębszy cień ich niskich, uroczych gniazd.

Związek Ziemian i Izby Rolnicze to były najważniejsze instytucje w mieście, a największymi wydarzeniami w nim były drukowane na ostatniej stronie Głosu Lubelskiego - codzienne notowania giełdowe na pszenicę, żyto, buraki, mięso.

Istotne życie Lublina skupiało się nie gdzie indziej, tylko na targu. W handlowej części miasta przy ulicy Lubartowskiej zamieszkałej przeważnie i obsługiwanej przez Żydów otwierały się stęchłe wnętrza sklepów z żelastwem, z narzędziami, tandetną galanterią dla chłopów. Powstały tu w końcu wygodne, choć okazało się, że jeszcze za małe, hale targowe, a rzeźnia miejska rozbudowała się jeszcze wcześniej i zaopatrzyła w nowoczesne narzędzia bydlęcej śmierci na użytek angielskiej kuchni.

Rzeczywiście, niby rolnicza miejscina na zachodzie przygnieciona nowoczesnymi miastami przemysłowymi - miasto wojewódzkie Lublin trwa w swoim charakterze miasta-targu, stolicy rolniczego kraju. Cierpi lub zyskuje, nie znajduje się jednak w prądzie twórczym i postępującym życia ogólnokrajowego. Jest prowincją. Wyjść z niej potrafi może z dymem gęstszych kominów fabrycznych przerabiających zorganizowaną produkcję urodzajnej ziemi lubelskiej dla kraju i zagranicy.

3. Chłopskie kontakty z Lublinem to poza targiem - kościoły. Stoją na każdym niemal rogu ulicy - niektóre stare, pamiętające dawniejsze tradycje trybunalskiego grodu i piękne. Każdy z nich

jest parafią dla wielu okolicznych kolonij i wiosek zadawałających się u siebie świątkiem przydrożnym lub kaplicą, ale śpieszących tłumnie w niedzielę na sumę do Bernardynów, na Bronowice, lub Kalinowszczyznę.

Rolnicy właśnie, ziemianie utrzymali w Lublinie ośrodek katolicyzmu rozrosły w górę aż do Lubelskiego Uniwersytetu, gdzie chłopów już przed wojną studiowało wielu, wchodząc w obcą sobie, jeśli nie wrogą atmosferę uczelni i wychodząc na miernych potulnych urzędników.

Kontakt z miastem poprzez kościół nie jest istotny. Ślub, chrzciny w kościele, suma, po której pilno do domu - jest w tym pośpiech, tymczasowość, jakaś ponadlokalność. Te prywatne zetknięcia z miastem po przez nabożeństwo mało dają miastu okazji do oddziaływania kulturalnego. To raczej wieś przynosi tu wtedy swoje upodobania estetyczne i zwyczajowe - rodzą się kramy z dewocjonaliami, przekupnie rozkładają gliniane zabawki i farbowane cukierki. Cała tandeta miejska kwitnie w dniu przedświąteczne wokoło targu - drukowane landszafty, papierowe kwiaty i blaszana biżuteria. Są to całkiem samorzutne lekcje smaku estetycznego dla wsi. Parę dobrych wystaw sklepowych na Krakowskim Przedmieściu mniej ma wpływu niż te szybki sklepowe na bocznych ulicach tuż obok głównej arterii, niby z ostatniego przedmieścia.

Miasto rolnicze, targowe żyje z chłopów. Nie może się więc wznieść do narzucania im wyższych gustów, schlebia najprymitywniejszym. W ten sposób miasto prowadzące z prowincji w stolicę - samo ulega w swym wyglądzie prowincji najgłębszej.

4. Bliżej z życiem miasta, choć niekoniecznie od najlepszej strony zaznajamia fryzjer, kawiarnia, kino.

Śmieszna jest pustka lokalów kawiarnianych osieroconych po jaśnie dziedzicach. Było tu kiedyś gwarno od interesów i liczb, gęsto od pośredników, faktorów i dziwnych ludzi żyjących z samego towarzystwa wyższych sfer. Samo pracowite miasto nie ma dość czasu i pieniędzy na życie kawiarniane. Żadna bohema nie powstanie tu wśród paru adwokatów, aktorów i pośredników handlowych. Literaci są urzędnikami i nauczycielami. Za to każda ogłoszona impreza kulturalna ściąga tłumy publiczności wylewające się poza ściany. Przy odrobinie pochlebstwa dla snobizmu zainteresowań - profesorowie mają pełną salę na odczytach, a młodzi poeci na wieczorach autorskich, podczas gdy w Łodzi na przykład odbywają się dobre recytacje poetyckie przy czterech, pięciu słuchaczach, także literatach a nie zainteresowanych z miasta.

Jest i w tym prowincja, ale przejaw jej najszlachetniejszy, dążenie do emancypacji z prowincji, do dorównania żywości większych ośrodków kulturalnych. Uniwersytet Powszechny TUR-u nie

prosperuje w Lublinie znakomicie. Dobrze natomiast rozwija się szkoła powszechna dla dorosłych. Jest głód oświaty najprymitywniejszej. Nie wystarcza przygotowania dla zainteresowań szerszych. Według oficjalnego biuletynu TUR-u i w akcji oświatowo-artystycznej praca nie dopisuje. To samo przejawia się w powiatowych miastach, w Puławach, Zamościu. Robotnicy nie bardzo liczni, mało zwarczi nie przejawiają prężności kulturalnej. Mają ją natomiast wzbogaceni handlarze, kupcy. Oni to zapełniają co wieczór salę teatru miejskiego, choćby na przedstawieniu komedii o Penelopie trwali do końca w mniemaniu, że to jedna z Muz.

5. W Lublinie nie literat nadaje ton kulturalnemu życiu miasta. Raczej nauczyciel gimnazjalny, ksiądz, adwokat w swoim kółku towarzyskim - ludzie bliżej nurtu życiowego, działacze. Poza tym nurtem tworzą się grzyby różnych intelektualnych manii mało znaczących, mało znaczących w kulturze międzynarodowej specjalizacji czy dziwactw. Ktoś poświęca cały swój czas po pracy rozwiązywaniu szarad, ktoś inny pisze traktat filozoficzny z pogranicza „ducha i materii”. W szerszym, szlachetniejszym wymiarze - ktoś zbiera wzory oryginalnych pisanek i powstaje towarzyskie koło dla czytania i komentowania „Wyzwolenia” Wyspiańskiego.

Tym wyraźniej na tle tej skąpowacalnej twórczości kulturalnej mało związanej z problematyką życia narodowego - występowała obiecująca młodzież, typy inteligentnych chłopców i śmiałych umysłowo dziewczyn - cieszące serca nauczycieli. Słuchając jak inteligentnie i pięknie recytowali ody Horacego po łacinie zdawało się, że idą czasy nowego odrodzenia, i klasycznego humanizmu. Wychowanie tradycyjne, normalne wykształcenie gimnazjalne czyniły ze szkoły autonomiczne oazy umysłowe. Młodzież uzyskawszy świadectwo dojrzałości zrywała ze światem szkolnym i wchodziła w życie, w którym wytwarza się inna hierarchia, nie hierarchia prymasów.

Dziś wystarczy na początku roku szkolnego wmieszać się w tłum uliczny, aby stwierdzić, jak wielki jest napływ chłopów do gimnazjów, szkół zawodowych i wyższych. Bogatsi chłopcy przywożą do miasta dzieci wozami i wasagami, umieszczają je na stancjach zupełnie jak kiedyś oficjaliści dworscy z powieści Prusa ubierają chłopców w mundurki i dziewczęta w alpagowe fartuszki. Jest jednak i grupa chłopskiej młodzieży biedującej po kątach i komórkach miasta pozbawionego burs, śpiących po jakiś lokalach biurowych "Wici"czy Stronnictwa Ludowego.

Nowa młodzież budzi narzekania nauczycielstwa na obniżenie poziomu umysłowego szkoły zmniejszenie idealizmu młodości. Co tam! Te dziewczyny zarabiają na życie jakimś usługiwaniem w stołówkach, czy zamiataniem korytarzy szkolnych, chłopcy łykają na stojąco wodnistą zupe.

Wieś wtargnęła do miasta w nowej roli - szukając oświaty wyprowadza raz jeszcze Lublin z prowincji.

6. Lublin ma w swoich niedawnych tradycjach literackich działalność poetyckiej grupy, w atmosferze której wychował się liryzm Czechowicza, w której ten poeta uroku prowincji lubelskiej pisał wraz z Franciszką Arnsztajnową wiersze o widokach Lublina - „Stare kamienie”. Jakieś podobno poetyckie zarazki obok zarazków gruźlicy unosiły się w powietrzu lubelskim, w zaułkach starego miasta i cienistych zakątkach cmentarza. Jeszcze dziś „Zdrój” oczekuje „przejawów prawdziwego talentu pisarskiego” na wyboistym bruku Lublina. Tymczasem - oby nawet nie spełnił się ten postulat talentyzmu, jeśli jego miejsce zajmie prawdziwie pozytywna, ogólnie ważąca robota kulturalna!

Wychodził w Lublinie „Zdrój” jako krynica całego życia kulturalnego, w szczególności literackiego Lublina. Wychodził świetlicowy dwutygodnik „Światło”. Obecnie po przerwie odrodzony „Zdrój” ogłasza swe „cele i zadania” wraz z paroma sensownymi artykułami, z których jeden tylko dotyczy Lublina, a raczej jego herbu. „Cele i zadania” natomiast są znamienne i budzą zastanowienie.

„O ile - pisze redakcja „Zdroju” - wychodzący przez pewien czas w Lublinie dwutygodnik „Światło” miał, względnie chciał mieć charakter pisma świetlicowego, a więc z natury rzeczy program jego był odpowiednio zwężony - „Zdrojowi” zakreślano program znacznie szerszy, wachlarz jego zainteresowań był bardziej rozległy”.

„Zdrój” bowiem chce być nie tylko pismem literackim regionu lubelskiego i odbijać życie umysłowe i kulturalne Lublina - pragnie również "być pismem rejestrującym całokształt życia literackiego w ogóle”.

Pozornie jest to znowu parcie w kierunku rogatki warszawskiej, w kierunku wyjścia z prowincji. Lecz tylko pozornie. Pomyślmy.

„Przegląd czasopism” zajmujący całą kolumnę „Zdroju” i dosłownie rejestrujący zdarzenia z równą uprzejmością w stosunku do „Kuźnicy”, „Warszawy” i „Teatru” - nie zastąpi przecież lektury samych czasopism, nie usiłuje sproblematyzować wydarzeń czasopiśmienniczych, ani przechylić się na którąkolwiek stronę - boć wiadomo że nie tylko tytuł pisma dzieli „Kuźnicę” i „Warszawę”, ale są to trybuny różnych ideologicznie grup intelektualistów. Oczywiście artykuł Chałasińskiego w „Kuźnicy” może być „wnikliwy”, a uwagi Pawła Hulki-Laskowskiego w „Warszawie” o roli Fryderyka Nietzschego - „cenne” - lecz przecież artykułu o pedagogice personalizmu i socjalizmu nie da się mierzyć tą samą miarą uważnego zainteresowania, co brązowanie Nietzschego - „rycerza walczącego mieczem ducha” i „pomimo swej wielkiej słabości bohatera” przypadkiem rzekomo przybranego przez faszyzm hitlerowski za swego patrona. Ten

indyferentyzm ideologiczny sformułowany jest także w założeniach pisma, które zamierza nie uwzględniać „zabarwienia politycznego poszczególnych twórców” życia umysłowego i literackiego.

Z takim założeniem nie będzie „Zdrój” zdolny do prawdziwego informowania czytelników na prowincji o treści życia kulturalnego ogólnopolskiego. Kolportaż pism tygodniowych nie jest tak niedoleżny, aby nie miały one dotrzeć same do czytelników i rąk odbiorców na prowincji, na którą przecież głównie liczą. Natomiast miejscowe talenty pisarskie i twórczość krytyczno-literacka, filozoficzna, historyczna - może przy rzeczywistym „dobrym poziomie” znaleźć miejsce w pismach nieregionalnych, ogólnych.

Otóż grzechem pierworodnym „Zdroju” wydaje się szerokość programu. Zastępować „Odrodzenie” i „Kuźnicę” „Zdrój” nie musi i nie powinien, zacieśniać się do regionu nie chce i nie może. Dla jakiego więc czytelnika jest przeznaczony? Czy starczą za czyn kulturalny ambicje ogólnonarodowego znaczenia kulturalnego?

„Światło” zakreślając sobie słusznie i z „natury rzeczy” węższy program i węższy zasięg - mogło go spełniać. Może program ten był jeszcze zbyt szeroki, jeszcze ujęty zbyt „światopoglądowo”, lecz że nie był pismem prowincjonalnym, to dlatego, że ograniczył się do roboty kulturalnej na niższym kręgu - właśnie niby na traktach Biłgoraja, Tomaszowa, Zamościa zamiast „produkcji ersatzów kulturalnych na użytek masowy.... wciąganie szerokich warstw narodu w konsumpcję i produkcję możliwie wartościowych dóbr kulturalnych”, („Światło”, nr.5.).

Nie chodzi jednak o chwalenie „Światła” czy naganę „Zdroju”, zdroju miasta mej młodości. Chodzi o określenie tego typu pisma, które właśnie znalazło drogę włączenia miasta prowincjonalnego w proces ogólnego życia. Objąć w „Zdroju” „całokształt polskiego życia literackiego w ogóle” jest zadaniem na tyle ambitnym i zbytecznym, co zamierzenie zegarmistrza lubelskiego napisania rozprawy filozoficznej z pogranicza ducha i materii. Pismo tak pojęte utrwala prowincję w Lublinie, choćby drukowało artykuły mądre, a nowele szlachetne. Nie najważniejsze są bowiem ambicje ogólnokrajowe, lecz ogólna przydatność pisma. W kraju będzie czytane „Odrodzenie”, „Kuźnica”, „Tygodnik Powszechny” nie tylko dla orientacji w życiu kulturalnym, ale dla włączenia się w samo to życie, którego wyrazem są pisma.

„Zdrój” natomiast, aby nie łączył się z biegiem smutnych rzek Lublina - musi się uczynić przydatnym i potrzebnym w określonym i najdokładniej określonym zakresie. Powinien pracować na wyraźnej bazie środowiskowej miasta i regionu. Odpowiadać tym siłom społecznym, które przejawiają się choćby w turkocie wasągów i wagonów kolejowych wiozących ze wsi młodzież do szkoły. Powinien stać się pismem regionu w znaczeniu regionalnej problematyki gospodarczej

i kulturalnej, a nie twórczości wystarczającej tylko na region. Nie ma dziś innej drogi dla pisma prowincjonalnego jak nieco nadużyte przez dawny „Zdrój” - „upowszechnianie” kultury. Taki „Zdrój” stałby się pismem ogólnonarodowym i tym skrzydłem, na którym mój Lublin już podniesie się z prowincji.

Student, który zbudził się pewnego rana na twardym stole biurowym w Lublinie czyta „Wiś” i pisze do „Wsi”. Pismo to odpowiada jego ideologii kulturalnej i pozycji społecznej-chłopskiego inteligenta. Niech omijają cię „Zdroju”, koszmary dentystycznych i adwokackich poczekalni!